

Roman Węgrzyn

***Wspomnienia jednego z pierwszych absolwentów
Wydziału Mechanicznego Politechniki Wrocławskiej***



Urodziłem się 27 lipca 1928 roku we Lwowie. Gdy zaczęła się wojna i 20 września 1939 roku Armia Czerwona wkroczyła do Lwowa miałem ukończonych 5 klas szkoły podstawowej. Do 1941 roku zaliczyłem dwie klasy dziesięciolatki. 22 czerwca 1941 roku Niemcy uderzyli na Związek Radziecki i po tygodniu prawie bez walki zajęli Lwów. W czasie trzyletniej okupacji niemieckiej uczęszczałem do Zawodowej Szkoły Technicznej i zacząłem się uczyć śpiewu i gry na fortepianie. W 1944 roku po raz drugi Armia Czerwona, już jako przyjaciel, po krótkich walkach wkroczyła do Lwowa. Rozpoczął się okres aresztowań członków AK wspólnie walczących o wyzwolenie Lwowa i dużego poboru do Wojska Polskiego. W 1945 roku kończę 10 klasę i otrzymuję maturę. Zakończyły się działania wojenne, ustalono nowe granice Europy.

Latem 1945 roku Centrala Banku Gospodarstwa Krajowego w Warszawie postanawia otworzyć bank we Wrocławiu. Kadra tego banku mają być urzędnicy BGK ze Lwowa. Ojciec prokurent BGK otrzymał pracę we Wrocławiu, postanowiliśmy opuścić Lwów. Władze radzieckie zezwalały na wyjazd tylko z podręcznym bagażem. Zostawiając wszystko, ponieśliśmy ogromne straty. Płacząc żegnałem Lwów, by po trzytygodniowej podróży wagonem towarowym w makabrycznych warunkach dojechać wreszcie do Wrocławia z nadzieją na lepsze życie.

Jak zapamiętałem Wrocław jesienią 1945 roku? W części południowej w pobliżu dworca głównego leżały w gruzach całe dzielnice przypominające widokiem Warszawę po Powstaniu. Nieco lepiej wyglądały wschodnie części miasta okolice Placu Grunwaldzkiego, gdzie nad Odrą znajdował się zespół budynków Politechniki Wrocławskiej. Wstępnych egzaminów nie było. Na podstawie mojej lwowskiej matury zostałem przyjęty na Wydział Elektro-mechaniczny. Profesor dziekan **Kazimierz Idaszewski** zarządził 15 listopada

rozpoczęcie zajęć na wydziale. Entuzjazm profesorów i studentów z okazji rozpoczęcia nauki był tak wielki, że nie smuciło nikogo zimno na sali wykładowej, w której trzeba było siedzieć w płaszczu, ani kompletny brak pomocy naukowych, książek, skryptów, czy też przyborów do pisania. Zamieszkałem rodzicami na Sępolnie dużym osiedlu mieszkaniowym, Tu zniszczeń nie było prawie widać.

Moje wspomnienia zacznę podobnie jak wszyscy, od fragmentów związanych z profesorami. Byliśmy szczęśliwi, że mamy tak wspaniałą kadre, że słynni matematycy profesor **Hugo Steinhaus** i profesor **Włodzimierz Ślebodziński** przekazują nam swoją wiedzę. Doskonale pamiętam wykłady profesora **Niewodniczańskiego** z fizyki. Profesor po omówieniu tematu dla lepszego rozumienia, osobiście ilustrował prawa fizyki na bogato przygotowanych pomocach naukowych. Profesor **Kazimierz Szawłowski** doskonały wykładowca drażnił nas następująco: Stojąc przy tablicy rozpoczynając wykład o budowie silnika spalinowego narysował mały nieistotny element. Prowadząc dalej wykład, do tego elementu błyskawicznie dorysowywał ze wszystkich stron dalsze szczegóły, by pod koniec ukazał się naszym oczom piękny przekrój silnika. My robiąc notatki nigdy nie wiedzieliśmy, w którym kierunku rysunek będzie się rozwijał i dlatego prawie nikomu nie udawało się umieścić go dobrze w zeszytach. Profesor **Stanisław Ochęduszko** wykładał „Teorię maszyn cieplnych”. Pamiętam wchodził do sali zawsze punktualnie w gronie swoich asystentów i nie tracąc ani jednej minuty zaczynał wykład, cały czas wypełniając rysunkami i olbrzymią ilością wzorów wszystkie tablice znajdujące się na sali. Wykłady były podawane nadzwyczaj rzetelnie i precyzyjnie. Zawsze go podziwiałem. Styl jego pracy miał ogromny wpływ na moją osobowość, kształtując mój charakter. Kazimierz Banyś trafnie określił profesora **Roberta Szewalskiego** nazywając go arystokratą wśród wykładowców. Jego wykłady na temat turbin parowych urzeły modулacją głosu i wspaniałym rysunkiem. Zauroczony wykładami postanowiłem robić projekt turbiny parowej. W trakcie pracy miałem okazję często widywać się z profesorem, podziwiać jego wiedzę, cierpliwość, a przede wszystkim kulturę. W rozmowach był zawsze uśmiechnięty, sympatyczny i przyjacielski. Przyznaję do profesora **Teodora Wróblewskiego** miałem żal i pretensje. Robiłem u niego projekt kotła parowego. Przy katedrze była sala kreślarska, gdzie rysowaliśmy projekty. Profesor był łatwo dostępny do konsultacji, więc praca szła szybko do przodu. Gdy projekt był prawie gotowy, profesor zażądał, aby go wyciągnąć w ołówku. Przerysowanie na brystolu całego projektu i wyciągnięcie go w ołówku zajęło mi ponad dwa miesiące czasu. Długotrwałe projekty turbiny

i kotła opóźniły moje studia. Teraz na projekt dyplomowy miałem tylko 3-4 miesiące czasu. Tylko u profesora **Kazimierza Szawłowskiego** było to możliwe. Tematem projektu był silnik do łodzi pościgowej. Decyzja ta miała fatalne skutki. Nasza armia z pieszej próbowała zmienić się w zmotoryzowaną. Jakaś ważna komisja wojskowa szukając kandydatów do kadry oficerskiej w służbach technicznych znalazła studenta, który interesował się silnikami łodzi pościgowych. Takiego nam potrzeba zdecydowali i wcielili go do wojska. Po trzymiesięcznym kursie w Oficerskiej Szkole Samochodowej w Pile, rozkazem Prezydenta PR, zostałem mianowany do stopnia porucznika Wojska Polskiego.

Zanim podejmę temat dalszych moich losów w wojsku trochę o towarzyskim, sportowym i kulturalnym życiu na uczelni.

Nieco podszkolony w śpiewie we Lwowie zgodziłem się, na Inauguracji Roku wraz z chórem w auli Politechniki przy akompaniamencie organów, zaśpiewać wstęp do „gaudeamus igitur iuvenes dum sumus”. Ciągnęło mnie do śpiewu. Równolegle ze studiami uczyłem się w Średniej, a potem w Wyższej Szkole Muzycznej. Przy różnych okazjach popisywałem się głosem, stąd koledzy, a nawet kadra wiedziała, że uczę się śpiewu. Pamiętam jak asystent z „geometrii wykreślnej” przy odbiorze mojego rysunku powiedział „aleś pan schrzanił ten rysunek panie śpiewak”. Śpiewałem w domu akademickim o czym wspomina profesor Jerzy Stańda w wydaniu z 1998 roku, że jakoby w czasie mojego śpiewu nawet kot dostawał wariacji. Profesor **Robert Szewalski** wiedząc, że jestem tenorem i długo się uczę śpiewu, pytał czy mam już wysokie C i jakie arie operowe wykonuję.

Na uczelni powstawały rozmaite kluby sportowe. W jednym z nich nasz kolega Stanisław Romaniuk trenował boks. Będąc w dobrym humorze żartując mówię do niego „chcesz oberwać” i przybieram pozycję bokserką. On potraktował tę scenę poważnie i strzelił mnie w szczękę co zniechęciło mnie do boksu. Akademicki klub wiosłarski miał swoją przystań nad Odrą, własne łodzie i stanowiska do ćwiczenia kondycji „na sucho”. Fragmentarycznie wzmacniałem tam swoją kondycję i pływałem na ósemce ze sternikiem. Pamiętam jak wiosłując wypadłem z rytmu i nadziałem się na koniec wiosła siedzącego za mną kolegi. Nie była to przyjemna chwila. W siatkówce Politechnika była bardzo dobra. Byłem wielbicielem naszej drużyny i chodziłem na wszystkie mecze. Wspaniale grali nasi koledzy Henryk Hawrylak i Wacław Połozżyński. Wacław szczupły wysoki bezbłędnie ścinał

przy ryku zachwyconych kolegów. Henryk Hawrylak wściekle bronił wszystkie piłki przeciwników popisując się wspaniałym refleksem i trafnością ustawiania się na boisku. Odra była czystą rzeką i można się było w niej kąpać. Józef Rogowski znalazł wspaniałą plażę niedaleko mostu jagiellońskiego. Był to kawał drogi. Postanowiliśmy razem pojechać na moim starym rowerze. Na przejeździe przez tory tramwajowe pękła rama rowerowa i obaj znaleźliśmy się na torach.

Ponieważ mieszkałem prywatnie, z kolegami spotykałem się przede wszystkim na uczelni w czasie ćwiczeń i na wykładach. Przez cały okres studiów nie przypominam sobie żadnego ostrego starcia pomiędzy nami studentami. Zawsze panował spokój, życzliwość i powaga. Wszyscy doświadczeni skutkami wojny, cieszyli się z wolności i marzyli jak najszybciej urządzić się w życiu. Pamiętam ten wspaniały koleżeński klimat.

Wracam do sytuacji jak zostałem wcielony do wojska. Nie pomogły interwencje Politechniki, ani Wyższej Szkoły Muzycznej. 1 października dostałem rozkaz wyjazdu do Piły do Oficerskiej Szkoły Samochodowej. Przeżywałem tragedię, przerwano mi studia techniczne i muzyczne. Miałem 22 lata. Rygor wojskowy, ranna gimnastyka bez koszuli późną jesienią, wzmocniły mnie fizycznie. Wpadłem na genialny pomysł i zorganizowałem kółko artystyczne. Szykowaliśmy koncert dla publiczności z Piły na zakończenie kursu. W wojsku każda niedziela to pożyteczny czyn np. sadzenie drzewek. Bywało, że wszyscy wracali przemoknięci doszczętnie, bądź wielokilometrowe marsze zakończone obtartymi nogami, albo zawody sportowe wywołujące omdlenia zawodników. Ja w niedzielę robiłem próbę do koncertu.

Po skończony kursie zostałem skierowanie do pracy do Krakowa. W dziale personalnym krakowskiego okręgu wojskowego usłyszałem: "z dokumentów widzę, że dobrze śpiewacie. Jeżeli poruczniku zgodzicie się społecznie śpiewać w Zespole Pieśni i Tańca Okręgu Krakowskiego zostaniecie w Krakowie, jeśli nie to czeka was odległa jednostka wojskowa". Wybrałem Kraków !!!

Szcześnie trafem w Krakowie wykładał także profesor **Kazimierz Szawłowski**. Nawiązałem kontakt, zmieniłem temat projektu dyplomowego i rozpocząłem prace przygotowawcze. Marszałek Rokossowski udzielił mi trzymiesięcznego płatnego urlopu w czasie którego wróciłem do Wrocławia i skończyłem projekt. Dnia 11 stycznia 1952 roku

otrzymałem dyplom Politechniki Wrocławskiej Nr 132, oraz tytuły magistra nauk technicznych i inżyniera mechanika.

W wojsku mój dyplom nie wywołał zachwytu i nic się nie zmieniło w mojej pracy w służbie samochodowej. W sztabie liczyłem się tylko jako artysta śpiewak. Na jednym z koncertów w Krakowie po występie podszedł do mnie pan Anatol Wroński i zaproponował mi prywatne lekcje śpiewu. Zgodziłem się i był to decyzja najszcześniejsza w moim życiu. Pan Anatol Wroński tenor opery warszawskiej i lwowskiej szkolił się we Włoszech u znakomitego śpiewaka włoskiego Giuseppe Anselmiego. Od niego poznał tajemnice „belcanta” czyli pięknego śpiewu. Tego mi właśnie brakowało. Po jego lekcjach głos prawidłowo ustawiony zaczął coraz lepiej brzmieć i podobać się publiczności.

Lata 1953-1954 to okres reorganizacji Krakowskiego Okręgu Wojskowego. W ramach nowej organizacji była zaplanowana redukcja wielu oficerskich etatów. W kadrze panował strach, nikt nie chciał być zwolnionym. O nie! Był taki co o tym marzył, nazywał się Roman Węgrzyn. Złożyłem podanie i prośbę o zwolnienie mnie z wojska. Czułem że jest wspaniała do tego okazja. Wreszcie w 1954 roku zostałem wymarzonym cywilem.

Moją 55-letnią pracę artystyczną rozpocząłem jako śpiewak solista w operetce krakowskiej. Operetka powstała na bazie Orkiestry i Chóru Polskiego Radia pod dyrekcją Jerzego Gerta. Zarówno orkiestra jak i chór należały do najlepszych zespołów w Polsce. Codziennie nagrywali muzykę operową i symfoniczną, co świadczyło o ich fachowości, precyzji i wysokim wykszoleniu muzycznym. Współpraca z takim zespołem mogła sprawić mi kłopoty. Tak się nie stało! Nauka jaką otrzymałem na Politechnice Wrocławskiej zaowocowała pozytywnie. Przyzwyczajony do ścisłego myślenia i pracowitości mając dobre wykszolenie muzyczne, dałem radę nowej muzycznej pracy.

Po siedmiu latach pracy w operetce i wykonaniu około siedmiuset przedstawień dostałem się wreszcie do opery, o czym marzyłem. Śpiewałem główną rolę „Starego króla”. Po usłyszeniu mnie w tej partii Robert Satanowski zaproponował mi pracę w Teatrze Wielkim w Poznaniu, w ambitnej operze „Hagith” Karola Szymanowskiego. Pracę przyjąłem.

Tam po wykonaniu tytułowej partii w operze „Tannhauser” Ryszarda Wagnera dostałem propozycję wystąpienia w tej roli w stolicy RFN w Bonn. Te wszystkie moje sukcesy przyczyniły się do tego, że nowy dyrektor Teatru Wielkiego w Warszawie Jan Krenz zaproponował mi pracę w stolicy, którą przyjąłem uważając tę propozycję za szczyt mojej polskiej kariery.

Dwuletni okres 1966-1968 okazał się dla mnie szczególnie szczęśliwy. W krótkim czasie z Krakowa przez operę poznańską dostałem się do Teatru Wielkiego w Warszawie. Rozpocząłem intratne występy w RFN i urodziła mi się wspaniała córka.

Moja dwudziestopięcioletnia praca w Teatrze Wielkim w Warszawie od „Halki” Stanisława Moniuszki w 1968 roku, do „Salome” Ryszarda Straussa w 1993 roku to czas bardzo intensywny. Już w 1969 roku po premierze „Otella” G. Verdiego, za partię Otella otrzymałem ogólne uznanie i znakomite recenzje. Jerzy Jaroszewicz w „Głosie Pracy” napisał: „muszę wyznać, że tak dobrego tenora w Teatrze Wielkim nie zdarzyło mi się słyszeć”. Ta premiera ugruntowała moją pozycję w teatrze na dalsze lata. Zostałem zaliczony do ścisłej czołówki solistów. W samym Teatrze Wielkim wystąpiłem ponad pięćset razy. Poza tym zapraszano mnie na gościnne występy w kraju i zagranicą. Dzięki temu poznałem Europę, Kubę i Azję. Często wyjeżdżaliśmy z teatrem na „Festiwale muzyczne” lub na tournée po krajach europejskich. Występami w partii „Starego Fausta” w operze „Faust” Ch. Gounoda w Operze Bałtyckiej w latach 2003-2008 zakończyłem moją działalność operową. W Gdańsku w 2007 roku obchodziłem 50-lecie mojej pracy artystycznej.

Po dwudziestu latach intensywnej pracy w operze rozpocząłem nauczanie śpiewu. Przyjąłem propozycję Akademii Muzycznej im. Fryderyka Chopina w Warszawie i tam przez dalsze dwadzieścia lat uczyłem studentów Wydziału Wokalnego. Równolegle pracowałem w Teatrze Wielkim. Wyszkoliłem grupę doskonałych śpiewaków. Po odejściu na emeryturę zmniejszyła się moja działalność na scenie teatralnej na korzyść działalności pedagogicznej. Podsumowując moją pracę wokalną przez 30 lat nauczania śpiewu, wyszkoliłem kilkunastu znakomych śpiewaków pracujących w operach krajowych i zagranicznych.

Na pewno jestem jedynym dyplomantem z grona pierwszych absolwentów, który w wyuczonym zawodzie pracował kilka miesięcy. Dlaczego przerwałem pracę techniczną i

zmieniłem na inną? Czy była to pochopna decyzja? Czy nie żałuję, że w ogóle studiowałem na Politechnice Wrocławskiej?

Krótko na te pytania odpowiem tak: Nie tylko nie żałuję, że studiowałem na Politechnice Wrocławskiej, ale uważam, że wiadomości jakie przyswoiłem sobie na tych studiach zaowocowały wielokrotnie w mojej karierze artystycznej, a najbardziej w pracy pedagogicznej.

Artysta śpiewak solista pierwszoplanowy wychodzi na scenę w Teatrze Wielkim w Warszawie i ma przed sobą ogromną salę na 2500 osób i ponad stu osobową orkiestrę. Nie używa mikrofonu! Aby zadowolić publiczność musi wypełnić swoim głosem całą salę. Wszyscy powinni słyszeć jego śpiew. Do tego potrzebna jest doskonała technika wokalna, której uczy się sporo lat, której działalność kontroluje przez całe życie. Głos winien być nośny, silny i elastyczny. Aby to zrealizować bezpardonowo wkraczają zagadnienia techniczne i prawa fizyki. Właśnie tego uczyłem się na Politechnice Wrocławskiej, tego uczył mnie profesor **Niewodniczański** gdy wirował na obrotowym stołku, wyjaśniając powstanie momentu obrotowego.

Bazując na moich wiadomościach technicznych, próbowałem rozwiązywać problemy w moim głosie i w głosach moich uczniów. Opierając się na własnym doświadczeniu rozumiałem, że śpiewak musi technicznie panować nad swoim głosem, jeżeli chce długo i skutecznie śpiewać. Zła technika niszczy „aparat głosowy” w bardzo krótkim czasie. Śpiew to morze problemów, to związek wielu funkcji pracujących równocześnie, to odczucia muzyczne, emocjonalne i psychologiczne. Wszystko zaczyna się i kończy w mózgu człowieka. Dobry śpiewak powinien być człowiekiem inteligentnym, wtedy łatwiej zgłębi istotę wokalistyki. Musi być cierpliwy i precyzyjny w wykonaniu. Aby wykonać partię Hermana w „Damie pikowej” Piotra Czajkowskiego trzeba nauczyć się ponad 3000 nut uporządkowanych w przestrzeni muzycznej. Do tego trzeba mieć cierpliwość i precyzję „wyciągania w ołówku projektu kotła parowego” u profesora **Teodora Wróblewskiego**.

Nośność i siła dźwięku ściśle są powiązane rezonansem, nie zawsze rozumianym prawidłowo. Często stosowana empiryczna metoda nauczania śpiewu, rozwija głos, ale nie prowadzi do ekstremalnych wyników. Prawidłowa emisja głosu jest bardzo

skomplikowanym procesem; wymaga mistrza- profesora, który słuchając śpiewu nie zachwyca się melodią, ale analizuje dźwięki, rozkłada je na czynniki pierwsze i poprawia te, które wadliwie pracują. Tylko wszystkie funkcje emisji głosowej pracując prawidłowo tworzą wspaniały swobodny dźwięk.

Moim zdaniem najpierw należy wypracować technikę emisji głosowej, a dopiero potem nałożyć na nią treści muzyczne i emocjonalne. Jestem wdzięczny Politechnice Wrocławskiej, że wpołała we mnie taki styl myślenia.



Fot.: G. Verdi „Otello”, Teatr Wielki, Warszawa, 1969. Roman Węgrzyn w partii Otella.



Fot.: Ryszard Wagner „Tannhäuser”,
Poznań, 1968 r. Roman Węgrzyn w roli
Tannhäusera.



Fot.: Roman Węgrzyn I amant operetki
krakowskiej, 1955-1962.